ROCZNIK XXX. Listopad 1908. Nr. 11.

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galicyjskiego Towarzystwa

OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ul. Ossolińskich 11. Wszystkie pisma należy adresować do sekretarza: R. Ciszewski Kochanowskiego 7a, zaświadki i prenum. do skarbnika A. Mussil, ul. Kar. Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego.

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Ossolińskich l. 11.

Cesarz Franciszek Józef I. opiekunem zwierząt.

Jubileusz sześćdziesięcioletnich rządów Cesarza Franciszka Józefa I dał czasopismom sposobność do opowieści różnorodnych epizodów z życia tego monarchy.

Między innemi czytamy jak następuje:

W czasie przejazdu z Gödöllo do Budy, ujrzał cesarz oburzającą scenę. Woźnica Hoffmann bił z całej siły drągiem konie, które nie mogły pod górę wyciągnąć przeładowanego wozu. Cesarz na widok tej brutalności, kazał zatrzymać konie i zawołał!

— Czyż nie wiecie, że nie wolno tak dręczyć zwierząt? Za to możecie być aresztowani i ukarani!

Hoffmann, który w jadącym, skromnie ubranym pułkowniku nie domyślał się cesarza, odpowiedział butnie:

— To pana nic nie obchodzi. Konie są moje i wolno mi robić z nimi, co mi się podoba.

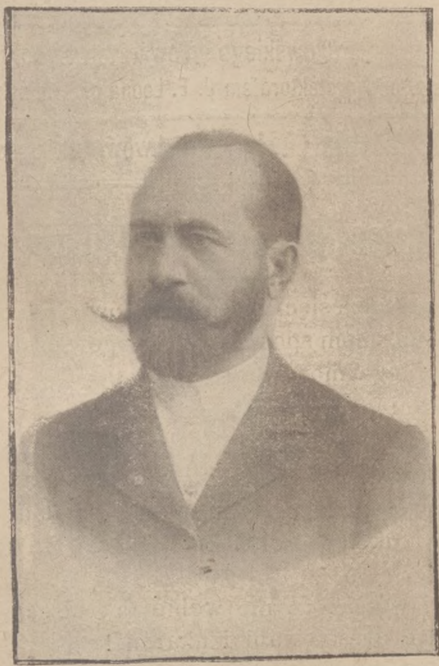
Cesarz nic na to naturalnie nie odpowiedział, ale właśnie w tej chwili nadjechał jeden z trabantów, który będąc świadkiem sceny, aresztował brutalnego woźnicę.

* * *

W czasie powszechnej krajowej wystawy we Lwowie w r. 1904 zainteresował się cesarz w pawilonie sanitarnym, oddziałem T. O. Z. informowany tamże przez prezesa Feliksa Pławickiego, sekretarza Dr. Józefa Limbacha i skarbnika Adolfa Mussnila. Jako amatora koni i zawołanego jeźdźca, zajęły monarchę szczególnie kauczukowe ochraniacze na kopyta końskie,

Odznaczenia.

Powyższy jubileusz miłym zapisał się wypadkiem w dziejach naszego Towarzystwa. Oto długoletni skarbnik G. T. O. Z. został w uznaniu zasług położonych około instytucyi odznaczonym złotym krzyżem zasługi z koroną. Jest nim p. Adolf Mussil.



Urodzony w r. 1850 jako syn aptekarza w Sokalu, poświęcił się również zawodowi aptekarskiemu. Na studya uniwersyteckie uczęszczał we Lwowie i Wiedniu, a w r. 1872 objął zarząd apteki ojca, później był aptekarzem we Lwowie i przez szereg lat prezesem galic. Tow. aptekarskiego.

Brał on zawsze udział w życiu publicznem i zajmował się od lat młodzieńczych sprawami różnorodnych towarzystw. Tuż po zawiązaniu się „Sokoła“ we Lwowie w r. 1867 był jednym z najgorliwszych jego członków, — jak również zaraz w następnym roku jednym z pierwszych członków założycieli Tow. ochotniczej straży ogniowej, gdzie pomimo młodego wieku (lat 18) zasiadł w wydziale Tow. wraz ze śp. Dr. Zygmuntem

Rygierem i śp. Ludwikiem Barączem. W roku 1873 zawiązał takąż straż ochotniczą w Sokalu, i był długie lata jej naczelnikiem, biorąc czynny udział w kilkudziesięciu pożarach, poczem go w uznaniu zasług mianowano członkiem honorowym.

W r. 1876 pomimo braku wymaganych ustawą lat — został wybrany w Sokalu radnym miejskim, gdzie był czynnym w sekcyi finansowej. W czasie wielkiego wylewu Bugu, odznaczył się energicznem ratowaniem mieszkańców oblanego ze wszystkich stron klasztoru OO Bernardynów.

Staraniem p. Mussila, zawiązało się także we Lwowie Towarz. właścicieli realności w stacyi klimatycznej „Brzuchowice“, którego prezesem jest nieprzerwalnie od lat ośmnastu. Położył on też zasługi około Tow. muz. „Harmonia“. Członkiem naszego towarzystwa jest p. Mussil od lat dwudziestu kilku — od r. 1903 zaś nieprzerwanie skarbnikiem i jako taki przetrwał niejedno przesilenie finansowe. Obecnie już stan kasy T. O. Z. zrównoważony i można mieć nadzieję, że dalej tak pozostanie.

Walne zgromadzenie Tow. ochrony zwierząt we Lwowie zamianowało go w dniu 29. kwietnia 1901 swym członkiem honorowym.

Drugie odznaczenie przypadło w udziale Dr. Józefowi Limbachowi, który jako profesor gimnazyum im. Franciszka



Józefa I otrzymał tytuł radcy szkolnego. Dr. Limbach znakomity przyrodnik, długoletni czynny, a od r. 1901 i honorowy członek

T. O. Z. położył niepospolite zasługi około instytucyi jako jej sekretarz i redaktor „Miesięcznika". Obowiązki te spełniał gorliwie od r. 1894 do końca r. 1907 i dopiero zniewolony nawałem zawodowych zajęć, złożył je w inne ręce. Poprzednio t. j. od r. 1889 był członkiem krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, aż do jego chwilowego rozwiązania.

Jeszcze raz w sprawie wykroczeń przeciw ustawie łowieckiej.

Zdarzające się codziennie jaskrawe przekroczenia przepisów §§. 33, 36 i 37 ustawy łowieckiej, normujących ściśle czas ochrony poszczególnych rodzajów zwierzyny łownej, w którym tejże ani łowić ani sprzedawać, ani też podawać w restauracyach nie wolno, zmuszają nas zwrócić się z gorącym apelem do samej publiczności, aby przez kupowanie zwierzyny jako artykułu spożywczego w czasie ochronnym nie dopomagała nadużyciom, lecz przeciwnie w każdym takim wypadku pociągnęła sprzedających do odpowiedzialności.

Pomijając fakt, że kto dopomaga nadużyciu, staje się współwinowajcą, pomijając dalej, że poszanowanie obowiązujących ustaw jest świętym obowiązkiem każdego dobrego obywatela kraju i świadectwem dojrzałości kulturalnej danego społeczeństwa, to już samo uczucie czysto ludzkie, nie powinno pozwolić publiczności na tolerowanie handlu zwierzyną w czasie ochronnym, a więc w czasie jej rozmnażania się. Przyznać muszą wszyscy, że barbarzyństwem jest zabić karmiącą swe młode zajęczycę lub sarnę, albo siedzącą na jajach kuropatwę, przepiórkę lub gołębia, by skazać na śmierć głodową całe młode pokolenie, lub zniszczyć gniazdko. Żeby potępić czyn taki z oburzeniem, nie potrzeba być myśliwym, lecz zwykłym, ludzkiemi uczuciami, obdarzonym człowiekiem. A publiczność nasza kupująca i spożywająca w czasie ochronnym zwierzynę, staje się bezwiednie współwinną w tem barbarzyństwie, bo gdyby nie było popytu, nie byłoby i podaży.

W Nr. 7 i 10 naszego czasopisma podaliśmy kalendarzyk myśliwski na każdy miesiąc w roku, jako informacyę dla publiczności, a obecnie prosimy niemniej nasze Władze, jak c. k. Starostwa i Magistraty miejskie o czuwanie nad ścisłem wyko-

nywaniem ustawy, jak również o zapobieganie wykroczeniom, przez konfiskatę w czasie ochronnym zwierzyny na rogatkach miejskich i w urzędach akcyzowych, w handlach i restauracyach.

Jeszcze jedna sprawa: Ustawa o ochronie zwierząt pożytecznych z r. 1874. § 2 (ze spisem ptaków, których chwytanie, zabijanie i sprzedawanie jest wzbronione) zakazuje wyławianie ptaków śpiewających i pożytecznych. Mimo to handel tem ptactwem, odbywa się tu we Lwowie, zupełnie jawnie i bezkarnie, — odbywa się zapewne w ten sam sposób w całym kraju! Wszystkie społeczeństwa otoczyły tych skrzydlatych dobroczyńców człowieka troskliwą opieką, u nas tylko setki drobnych ptasząt idzie na rynek zbytu — bezkarnie, wbrew wszystkim ustawom i przepisom.

O opiekę nad tymi wdzięcznymi śpiewakami naszych pól i lasów, prosimy gorąco publiczność.

R. K.

Listy z Krakowa.

Korzystam z pięknego, słonecznego dnia jesiennego i po czarnej kawie wychodzę na balkon z dziennikami, by je przeczytać na powietrzu, co jak się okazało, w Krakowie nie jest tak łatwem.

Staram się najpierw odgadnąć, w jakie zwierzę zaprzężony jest stojący na ulicy wóz węglarza; rozpoznanie utrudniają krwawe oczodoły zastępujące oczy, ropiące rany wielkości dłoni, rozsiane na skórze obwlekającej wystające kości i szmaty zakrywające nogi, jedną przednią od podstawy aż powyżej kolana. Siedzący na wozie wyrostek umila sobie nudne chwile postoju, szarpie lejcami i kłuje biczyskiem zwierzę, niemające siły reagować. — Domyślam się, że to koń, a domysł potwierdza okrzyk „wio!“ i kilkanaście uderzeń batem; wóz rusza z trudnością, bo zwierzę tylko trzema nogami dotyka ziemi i nie może znaleźć punktu oparcia, by pociągnąć ciężar za wielki nawet dla zdrowego i silnego konia. Mija go na zakręcie ulicy konny policyant; z naturalną pogardą spojrzał na biednego konia, bo przecież pod sobą ma lepszego! Trzaskanie

batem odwraca uwagę moją w inną stronę; ciężki wóz z piaskiem ciągną z trudnością dwa wychudłe, spocone i miejscami pianą okryte konie; woźnica drzemie na wozie, a rozbudziło go zwolnienie kroku koni, jakby z przyzwyczajenia przy narożnym szynku. Schwyciwszy bat kilku silnymi uderzeniami po nogach i brzuchach zachęcił je do dalszej pracy, poczem zeskoczywszy z wozu wbiegł do szynku, za chwilę wyszedł a „splunąwszy“ dopędził konie i ponownymi, spotęgowanymi razami, teraz i po uszach, podziękował im za przypomnienie.

Biorę do ręki dzienniki i zaledwie miałem czas przekonać się, że „Czas“ właśnie mam przed sobą, gdy dziwny hałas doleciał moich uszu. Z bramy sąsiedniego domu wypada gromadka dzieci z okrzykiem „zabić go!“ Z rąk jednego z nich wymyka się kilkumiesięczny kotek, przesadza wał kolei okrężnej i wdrapuje się na najbliższe drzewo w przyległym parku krakowskim. Rozpoczyna się bombardacya kamieniami, której przypatruję się z przyjemnością, bo drzewo bardzo wysokie, a kot ze szczytu z pogardą spogląda na młodocianych oprawców.

Okrzyki i hałas dzieci przygłusza turkot nadjeżdżających wozów z szutrem; to wozy „od robót miejskich“, świadczą o tem tabliczki z napisami, numerów jednak żaden archeolog nie zdołałby odczytać. Z wozów posypuje się grad kamieni w kierunku piesków harcujących na trawniku; przerażone rozbiegają się i kryją w bramach domów i właśnie ostatni z nich zniknął, gdy na rogu ulicy ukazała się budka oprawcy.

„Niema złego, coby na dobre nie wyszło“ pomyślałem zdziwiłem się jednak widząc, że budka zatrzymuje się, jakkolwiek nigdzie psa dojrzeć nie mogłem. Oprawca wbiega do bramy jednego z domów i po chwili wynosi małego pieska z linewką, której koniec pod wpływem silnego szarpnięcia wypada z rąk młodej kobiety. Przerażona i zrozpaczona, rzuca się na ratunek przyjaciela, apelując do publiczności o obronę przed takiemi nadużyciami; nikt jednak nie ma odwagi przyjść z pomocą, bo oprawca to osoba urzędowa, chroniona kodeksem karnym! Piesek brutalnie wrzucony znachodzi się w budce, która szybko rusza, a z jej wysokości pada najobejżywsze wyrażenie w kierunku kobiety jako przyczynek do przeświadczenia, że biedna jej psina zginie za kilka godzin bez nadziei ratunku!

Wchodzę do mieszkania, odrzucam dzienniki i zamykam szczelnie drzwi od balkonu i okna. W ręce wpada mi wydany niedawno przez nasze Towarzystwo opieki nad zwierzętami wyciąg z ustaw i rozporządzeń przeciw dręczeniu zwierząt. Z niego dowiaduję się, że „kto publicznie dręczy zwierzęta w sposób zgorszenie wywołujący, skazany być ma bez względów, czy one są jego własnością... przez Władzę polityczną lub przez Władzę policyjną...“ (rozp. Min. spraw. wewn. z 15|2 1855 Nr. 31 Dpp.), że zabronionem jest „a.) używanie do ciężkiej pracy, wożenia ciężarów i t. p. koni widocznie chorych, poranionych, chromych; b) bicie koni biczyskami lub kijami, szczególnie po nogach, brzuchu i głowie; c) szybka jazda z jakimkolwiekbądź ciężarem...“ (rozp. c. k Namiestnictwa z 19|4 1877 l. 30842), że sługom rakarza przy schwytaniu psów nie wolno dopuszczać się czynów obrażających współczucie publiczne i przejmujących przechodniów grozą i oburzeniem..“ (rozp c. k. Namiestnictwa z 26|5 1877 l. 15371) i że „psy mogą być tylko na placach publicznych lub też na środku ulicy chwytane; na plantacyach, chodnikach, trotuarach lub w sieniach albo podwórcach domów nie wolno łapania dokonywać; łapanie musi oprawca z oszczędzeniem ile możności zwierzęcia uskuteczniać; względem publiczności ma się oprawca zawsze grzecznie i uprzejmie zachowywać. Szorstkie, nieprzyzwoite zachowanie się dręczenie złapanego psa bezpotrzebnie, karane będzie na oprawcy już to grzywną od 1 do 10 zł. austr. już to stosownie do okoliczności karą aresztu od 6 godzin do dni dwóch“ (§ 6 instrukcyi dla oprawcy w m. Krakowie l. 7577|879 Dziennik rozporządzeń dla stoł. król. m. Krakowa z r. 1880 L. 1).

Więc mamy ustawy i rozporządzenia przeciw dręczeniu zwierząt, nie wiedzą jednak o nich zdziczali dręczyciele, a o ich istnieniu zapomniały czynniki powołane do czuwania nad tem, by ustawy były przestrzegane. To też bardzo chwalebną jest myśl naszego Towarzystwa, by wyciąg z tych ustaw i rozporządzeń zamieścić w wydać się mającym nakładem Towarzystwa kalendarzyku na r. 1909 zwłaszcza, że kalendarzyk w miarę możności rozpowszechnionym być ma bezpłatnie wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

Kraków, w październiku 1908.

Dr. Kazimierz Lubecki.

List z Rzymu.

Gdziekolwiek jestem, zajmuję się kwestyą zwierząt z uczuciem palącej konieczności, aby regulować obchodzenie się ludzi ze zwierzętami według zasad uczciwości. Obecnie przebywam w Rzymie, skąd w niniejszej korespondencyi mam zaszczyt przezacnym Przyjaciołom zwierząt donieść choć parę szczegółów co do naszej drogiej sprawy.

Ponieważ wypada mi tutaj bywać niemal corocznie, przeto posiadam pewną porównawczą ciągłość spostrzeżeń. Na tej podstawie miło mi podzielić się z Wami wiadomością, że ogólne wrażenie jest stanowczo korzystniejsze, niż dawniej. Nie spotyka się już tak często owego osławionego barbarzyństwa włoskiego, polegającego na zapamiętałem, namiętnem biciu koni, osłów i mułów; rzadziej już zdarzają się złośliwe figle rzymskich ragazów, strzelających z proc i podstępnie kopiących psy i koty. Trochę się rozjaśniło słonko nad biednemi zwierzętami. Stało się powszechnym obyczajem chowanie psów i kotów, nieraz w znacznej liczbie razem; widok pieszczenia zwierząt nie jest wcale rzadkością.

Stara rzymska instytucya, znana szeroko, jako pałac „stu kotów“, rozwija się dość dobrze. Ludność Rzymu szczególnym faworem otacza koty: w szczególności nie istnieje uprawiany gdzieindziej straszny zwyczaj topienia młodych. Przedewszystkiem zwykle znajdują się amatorzy, gotowi utrzymywać te zabawne i tak tanio kosztujące stworzenia; w razie jednak niemożności Rzymianie wynoszą je do ruin których mnóstwo jest w Rzymie i tam je zostawiają, a dobrzy ludzie i nie leniwi zawsze im zaniosą przynajmniej odpadki ze swego stołu, które zamiast się marnować służą na zachowaie życia setkom kotów. Wiele jest kotów wokoło Panteonu i indziej, najwięcej wszakże na miejscu starożytnego Forum augustowskiego, w zwaliskach świątyni Nerwy. Jak w wąwozie, głębokim w stosunku do poziomu nowoczesnej ulicy, wśród potrzaskanych kolumn, pod arkadami portyków, w zakątkach odwiecznych murów żyją tam te bezpańskie koty z litościwej ręki ludu. Widok tych osobliwych mieszkańców, ożywiających umarłe gmachy, jest

w swo:m rodzaju jedyny. Miłą też jest przechadzka tamtędy dla każdego miłośnika zwierząt.

Na łagodnienie dawniejszej wybuchowej srogości pospólstwa, wpływa zapewne w znacznej mierze stanowisko Majestatu religijnego i narodowego. Z jednej strony bowiem Ojciec Święty potrzykroć do Towarzystwa Opieki nad zwierzętami w Neapolu, Wiedniu i Paryżu, wyraził pochwałę tego dzieła i tej zasady litości dla zwierząt, z ducha chrześcijańskiego wynikającej; z drugiej strony znowu królowa Małgorzata, jedna z wyroczni patryotyzmu państwowo-włoskiego, jest jak najgorliwszą opiekunką ruchu dla dobra zwierząt.

Niemało też pomyślności zawdzięcza los zwierząt rzymskiemu Tow. Opieki nad zwierzętami, o którem obszerniejszą winienem uczynić wzmiankę.

Udałem się do tego bratniego nam Stowarzyszenia, aby imieniem krakowskiego Towarzystwa wyrazić mu pozdrowienie i przypatrzeć mu się naocznie, jako jednemu z wzorów. Wobec wakansu godności dyrektorskiej (było to 23 listopada 19 8 r.), przyjął mnie wicedyrektor Alfred Perrucci z bardzo wielką uprzejmością. Po wstępnejr ozmowie oprowadził mnie po lokalu Stowarzyszenia, udzielił wiele wiadomości i broszur.

Lokal Towarzystwa. mieszczący się przy placu Hiszpańskim l. 54, składa się z przedpokoju i dwóch pokoi frontowych na pierwszem piętrze, wygląda jak Muzeum: niestety jak Muzeum, budzące grozę, które, daj Boże, aby tylko historycznem pozostało! Oto wszystkie ściany zawieszone są narzędziami tortur, jakich niegodziwi ludzie na swoich niemych współpracowników i na niewinne Boże stworzenia używali. Przedewszystkiem znajduje się tam kilka tysięcy ostrych wędzideł, jużto najeżonych kolcami, jużto szczerbatych, jak piła; tym to sposobem woźnice o kamienych sercach powodowali swymi pociągowymi robotnikami! Za staraniem Towarzystwa policya konfiskowała takie wędzidła i oddawała mu je, jako wstrząsającą pamiątkę tutejszych zwyczajów. Dalej znajduje się tam imponująca liczba proc, zabranych swawolnym zdrożnie chłopakom. Jest pokaźny zbiór zastawek na ptaki, umieszczanych idyotycznie i bezplanowo na polach, ażeby schwycić coś nowego i nad tem się pastwić! Podobno też nieraz po kilka dni pozostawały ptaszęta w uściskach zapomnianych drucianych kleszczów. Jest to wstrętny rys chłopców, lecz wstrętniejszy ze strony fabry-

kantów tych pułapek! Przechowywa również Towarzystwo kolekcyę pałek, zazwyczaj okutych żelazem, któremi okładano juczne zwierzęta; są i przyrządy zaostrzone, rodzaj dzid, mających pobudzać siłę obładowanych pociągowców. Wśród tego jest gruby łańcuch, którem katowano jakiegoś nieszczęsnego osła. Jest także kilka kagańców dla cieląt (!) aby je oduczyć od ssania; niektóre z tych kagańców zaopatrzone są długimi kolcami, ażeby odstraszały krowę! Mie sposób mi opisywać wszystkich narzędzi, jakie Towarzystwo skonfiskowało; okazuje się dowodnie, jak ludzie bywają pomysłowi w swojem okrucieństwie...

Celem wykorzenienia tych okropności zawiązało się owo Towarzystwo. Największą w niem siłę stanowią Anglicy i wogóle cudzoziemcy. Protektorat objęła królowa. Towarzystwo jest pozawyznaniowe i poza stronnictwami. Do wydziału należą senatorowie, ambasadorowie, literaci, żydzi, księża. Od duchowieństwa właśnie i od katolicyzmu wogóle, bardzo wiele jest poparcia. Piętno religijne znać już zewnętrznie w Towarzystwie, którego biuro ozdobione jest fotografią Piusa X. własnoręcznie przezeń z błogosławieństwem podpisaną, a na ścianie wiszą obrazy św. Franciszka i św. Leonarda, którzy obok wielu innych świętych odznaczali się tkliwością dla zwierząt. Ale i wielka część odczytów i broszur aprobowanych przez władze duchowne, wychodzi od katolickich kapłanów, uważających kwestyę zwierząt wprost za kwestyę moralną; figurują tu tak poważne nazwiska, jak Ks. Lazzari, Ks. Minocchi, Ks. Trecco, a zwłaszcza najczynniejszy ze wszystkich O. Ghignoni, zakonnik barnabita. Przedziwny też, na antycznej Romie, już sprawdzony, zachodzi związek między litością dla zwierząt a ogólną łagodnością obyczajów: że w tych samych ostatnich lat szeregu równocześnie ze świetnym rozwojem Towarzystw Opieki nad zwierzętami w Rzymie, a zwłaszcza w Neapolu, itd., zmniejsza się niesłychanie szybko głośna przedtem, zbrodnicza i niebezpieczna krwiożerczość Włochów i zmniejsza się znakomicie pełne zboczeń rozpustne wyuzdanie. Zaiste, kto jest czuły już dla zwierzęcia, niełatwo porwie się na bliźniego swego! Kto się nienapawa katuszą zwierzęcia, niełatwo popadnie w sromotne i krzywdzące występki!

Myślami przewodniemi rzymskiego Towarzystwa Opieki nad zwierzętami są następujące:

Celem Towarzystwa jest zapobieganie dręczeniu zwierząt w Rzymie i okolicy przez zmuszanie woźniców, aby w razie przeciążenia wozu zaprzęg pomnożyli albo ładunek zmniejszyli, przez zakaz używania zwierząt rannych, chorych i niezdolnych do pracy, przez konfiskatę narzędzi tortur. Towarzystwo ma także zachęcać do dobroci wobec zwierząt, dając nagrody konkursowe za najlepsze utrzymywanie zwierząt jucznych i pociągowych, zaprowadzając poidła dla koni, psów i t. d., udzielając bezpłatnej porady weterynarskiej i lekarstw, rozszerzając odpowiednią literaturę. Towarzystwo utrzymuje biuro zażaleń, a urzęduje cały dzień.

Obyż przykład rzymskiego Towarzystwa podziałał na nasze oziębłe, bezmyślne i lękliwe stosunki! Oby podziałał i jako prąd ogólny, otrząsający z ospalstwa, i jako całkiem konkretny na naszym gruncie prawie dokładnie możliwy do zastosowania wzór! Tyle z nim punktów stycznych, teoretycznie przynajmniej już mamy — niechby tylko zrodził się żywszy, inteligentny pietyzm, boć sprawa ta, przez Świętych i mędrców wysoko ceniona, doprawdy warta więcej zapału.

Przyjmijcie też, Szanowni Czytelnicy, ten list nietylko dla zaspokojenia ciekawości, co w Rzymie w kwestyi zwierząt słychać, ale przedewszystkiem dla praktycznego podniesienia Waszych szlachetnych dążności, Waszej pomysłowości i zacnej troskliwości.

Rzym, 26. listopada 1908 r.

Józet A. Drozdowski.

Uwagi o pojeniu koni.

Wielu właścicieli a nawet mniejszych hodowców koni mało uwagi zwraca na pojenie sądząc, że podanie koniowi wody po każdem karmieniu (zwykle trzy razy dziennie) zupełnie mu wystarcza.

Jest to zapatrywanie mylne; jak doświadczenie moje uczy, koń spędzający nawet większą część dnia i całą noc w stajni (n. p. koń wojskowy) chętnie napije się wody poza czasem karmienia, zagryzając ją w braku siana garścią czyściejszych żdzbeł słomy z podściółki.

Częste podawanie koniowi wody ma nietylko tę zaletę, iż chroni go przed zrozumiałą męczarnią, jaką sprawia choćby małe pragnienie, lecz przyczynia się także bardzo do dobrego wyglądu konia, na czem chyba każdemu właścicielowi zależy; przytem koń płochy staje się powolniejszym i ulegiejszym. Rozumie się, iż koniowi zgrzanemu nie powinno się podawać zaraz i zanadto zimnej wody; również nie powinno się pozwalać zdrożonemu koniowi na wypicie naraz większej ilości wody, bo zaszkodzić mu to może, szczególnie w porze zimowej.

Przysłowie mówi: „pańskie oko konia tuczy“, jestto prawdą, lecz również prawdą jest, że jeżeli sługa sam z własnego popędu dba o dobro konia, jest nieocenionym, a skutki jego pieczołowitości łatwo dają się na koniu spostrzegać. To też wielkie korzyści osiąga właściciel koni, jeżeli natrafi na sługę dbającego o nie, co dziś bardzo rzadko się zdarza; najlepszy nawet sługa jest zwykle za leniwy, szczególnie do częstego pojenia koni, gdyż wody przynieść trzeba ze studni, zazwyczaj trochę odległej.

Koń tak, jak i człowiek chętnie pije wodę świeżą, czystą i z czystego naczynia, będąc zamiłowanym w czystości, zmuszony jednak pragnieniem, zadawalnia się nawet resztką tej wody, która pozostała w wiaderku po napojeniu poprzedniego konia. Są jednak tak delikatne konie, które pozostałej po poprzedniku wody pić nie chcą, a jeśli pod przymusem wielkiego pragnienia napiją się jej, to nie do sytości i nie stosownie do pragnienia.

Tam, gdzie się kontroluje pojenie koni, słyszymy przy próbnem pojeniu zapewnienia i sumitowanie się służących, iż dopiero co poili konie; nie przyznają się jednak do tego, że do pojenia użyli wody nieczystej lub za długo stojącej w stajni, a wskutek tego zepsutej.

Gdy porównamy rozmiar budowy i wysiłek przy pracy konia i człowieka, musimy przyjść do przekonania, że tak koń jak i człowiek potrzebują prawie jednakiej, odpowiedniej do rozmiarów ilości wody, z tą tylko różnicą, że człowiek ma pod ręką tysiące środków do zaspokojenia swego pragnienia, podczas gdy koń śmiertelnie spragniony milczeć musi, zdany na łaskę i oczekiwać miłosierdzia, zwykle bardzo niemiłosiernego sługi miłosierdzia zaczynającego się od kopnięcia w brzuch, lub uderzenia w głowę tego nieszczęśliwego zwierzęcia.

Gdy człowiek ma tak zwaną „twardą naturę“ i mężnie wytrzymuje moralne i fizyczne cierpienia i bóle, mówimy o nim że ma „końską naturę“. Zaiste! gdyby konie umiały płakać, ileż gorzkich i krwawych łez polałoby się z ócz tych tak szlachetnych, poczciwych, pożytecznych i wiernych zwierząt. Widocznie Stwórca przewidując dzikość ludzi nie dał koniom łez, bobyśmy w naszych miastach, miasteczkach i wsiach, na roli mieli nigdy nie wysychające błoto, utworzone z powodu ciągle spływających łez końskich.

Najnieszczęśliwszymi z koni są te, które zwykle w starości przeszły na własność różnych węglo- kamienio- cegło- i piaskowozów, oraz konie dorożkarskie. Publiczność nasza zobojętniała do tego stopnia, że zamiast najsurowiej zgromić woźnicę za bezmyślne i bezcelowe katowanie konia, przypatruje się spokojnie cudom waleczności, jakich dokazuje on na biednem zwierzęciu bez najmniejszego powodu, folgując jedynie swej bestyalskiej fantazyi. Zwierzę zgonione, często okulawione, głodne i spragnione, przywiązane do dyszli i ujęte w cugle, czując przemoc i bat nad sobą z oczami pełnymi przerażenia dobywa ostatnich sił, by zadowolnić swego kata i schronić się przed dalszymi, bolesnymi razami, a nikt z publiczności nie chce, czy nie ma odwagi ująć się za poniewieranym koniem w obawie usłyszenia grubiaństwa i biernem zachowaniem się w obec takiego niegodziwca niejako aprobuje ogólne wierzenie niższych warstw społeczeństwa „iż koń jest na to, aby go bić“! Również i władze często obojętnie zachowują się w takich wypadkach, wskutek czego, woźnica-barbarzyńca ma zupełnie wolną rękę i w oczach przechodniów, „miłosiernych chrzescian“ zabija powolnie bo przez lat kilka nieszczęśliwego konia.

Jak temu zapobiedz? Odpowiedź jedna „niechaj społeczeństwo obudzi się z apatyi, niechaj jednostki łączą się i zawiązują w towarzystwa opieki nad zwierzętami“ Bierzmy przykład (niestety) z Niemców; gdy w Galicyi mamy (od niedawna dopiero) dwa tego rodzaju towarzystwa z kilkoma filiami, tam na takim samym obszarze istnieje ich conajmniej kilkanaście, a z jaką liczbą członków i z jakim rezultatem działania!

Kraków, w październiku 1908.

Dr. Kazimierz Lubecki.

Cyrki zwierzęce.

Miałem pewną przyjemność, która jednak z czasem przerodziła się w smutek i oburzenie, uczęszczania nieraz na widowiska cyrkowe. Im uważniej przypatrywałem się produkcyom sztuk cyrkowych tem okropniejsze pod efektownemi mamidłami ukazywało mi się trzęsawisko tortur, a to nietylko, jako przygotowanie do popisów, wypełnione biciem, głodzeniem i innemi mękami przez ciąg miesięcy i lat lecz także na samej już widowni wobec zgromadzonej publiczności, jako okrutne i bolesne sposoby zmuszania zwierząt do wykonywania programu. Niestety, odnosi się to zupełnie jednakowo do pomniejszych cyrków wędrownych, jak i do wielkich zakładów po pryncypalnych miastach Europy, o czem naocznie się przekonałem.

Głośno już mówi się i pisze o haniebnych i zbrodniczych nadużyciach cyrkowych nawet w stosunku do ludzi: poczynając od kradzenia dzieci przez cyganów na sztuki łamane, kończąc na gwałtownie niebezpiecznych „saltomortale“, hałaśliwie reklamowanych w stolicach naszej kultury — historya cyrków jest pasmem nędzy i występków. Wplatanie numerów humorystycznych do przedstawień, numerów żonglerskich zadziwiającej często zręczności, to znowu wspaniałe pantominy, jak np. w macierzystym cyrku Renza-Schumanna w Hamburgu, bądź dowcipem, bądź przepychem pociągają ciekawych do cyrku, którzy przytem wbrew zasadom etycznym znoszą, a może i lubują się w groźnych produkcyach karkołomnych i w dręczeniu bliźniego.

Jeżeli tak pełnem męki jest w cyrkach położenie ludzi, bronionych przecież całą siłą opinii, ustaw, elementarnych przykazań moralnych i t. d., toż nieporównanie gorszy jest tam los zwierząt, albowiem ich obrona bywa bardzo a bardzo słaba W istocie, oprócz tresury koni, doprowadzanych niekiedy do szlachetniejszych form zgrabności, lubo i to nie bez bicia a bez rozumnego celu, i oprócz tym podobnych, stosukowo niewinnych ćwiczeń, ogół ich jest rzeczywistą katuszą.

Nie chcąc demoralizować i razić czytelników długiemi opisami niesłychanych okrucieństw, uprawianych w cyrkach

wobec zwierząt, a czując się zobowiązanym do przytoczenia przykładów, objaśniających powyższe jak najostrzejsze zarzuty, ograniczę się na razie tylko do kilku słów o niektórych szczegółach widowisk tegorocznych w słynnym cyrku Buscha w Wiedniu, dawanych pod dyrekcyą Sarassani'ego.

Odbywały się tam popisy kilkunastu słoni. Wszystkie bez kłów, które zabrano im na kość słoniową; to, jak wiadomo, praktykuje się prawie zawsze w cyrkach i menażeryach Tresura ich polega, jak zwykle, na wprawianiu ich do marszu w szeregach, chodzeniu na dwóch łapach, stawaniu na przednich łapach, huśtaniu się i na wielu takichsamych rzeczach bezsensowych, nienaturalnych i właściwie potwornych Słonie pokazują te żmudne sztuki niby to na skinienie dyrektorskiego biczyska, lecz tuż za nimi niby dla efektu, postępują w jaskrawych kostyumach służący z ostrymi hakami kształtu pogrzebaczy. Publiczność wpatrzona w słonie, tego nie zauważa. Otóż rzeczywiste kierowanie ruchami słoni używa się zapomocą wrażania haków w ich ciało. Są na to osobne miejsca, zaznaczone na skórze słoni plamką białej farby, wśród której znajdują się nigdy nie gojące się otwory. Tam zagłębiwszy ostrza, pachołkowie w odpowiednie strony pociągają słonia. Na tem samem przedstawieniu najtrudniejsze sztuki końskie, jakoto utrzymywanie się na toczącej beczce i t. d., co wywołuje bezmyślne brawa, dokonywują się przy uździe z twardej struny, przewleczonej przez wywiercony kanał w nozdrzach, której szarpanie zadając szalony ból zwierzęciu, porywa je do rozpaczliwych usiłowań, by spełnić niegodne i dziwaczne pomysły ludzkie. Nigdy nie zapomnę przejmującego rżenia tego konia, drżącego przed przeciąganiem mu tej katowskiej uzdy — co przed produkcyami nie było jeszcze zrozumiałem dla widzów i mogło zakrawać na niesforność konia! Także i lwy, tam występujące, ciągle dźgane kolcami i oślepiane wystrzałami, aby koniecznie zajmowały różne jak najniewłaściwsze dla swego organizmu pozycye, przedstawiają politowania godny obraz zgnębienia i wynędznienia. Wprawdzie czasem pogromcy nie używają rozpalonego żelaza, lecz skłaniają dzikie zwierzęta do żmudnych wysiłków, jak chodzenie po linie, wabiąc je kawałkiem mięsa, albo koniom w nagrodę dzikiej gimnastyki pokazując kawałek cukru, lecz to jest niestety krzyczącym dowodem ciężkiego głodu tych ofiar ludzkiego zwyrodnienia

Toteż stworzenie delikatniejsze, jak np. małpy, zwykle wcale w cyrkach wyżyć nie mogą, zwierzęta zaś wytrwalsze znajdują się w skończenie żałośnym stanie.

Taki więc typ cyrków, dający na pokaz dla małodusznej, płochej, nizkiej igraszki rezultaty męczarni, zadawanych nieszczęsnym zwierzętom, powinien zniknąć z powierzchni ziemi! Wśród zwinności, osobliwości, ozdobności, publiczność nie powinna ani razu ścierpieć przedstawianych sobie zdobyczy boleści. Ponieważ zaś barbarzyństwa takie, o pomstę do nieba wołające, dzieją się dla zysku, publiczność powinna odjąć jedyną racyę bytu tych igrzysk, mianowicie zysk takiemu przedsiębiorcy. Jak wśród dobrych potraw nie przyjmie się potrawy trującej, ani całej tak złożonej uczty, tak nawet wśród interesującego widowiska nie można przyjąć popisów okrucieństwa, ani iść wogóle na takie widowisko. Każdy tu jest działaczem: gdy do takiego cyrku idzie, płaci na dalsze dręczenie zwierząt, gdy się zaś od tego powstrzyma, a zwłaszcza, gdy nadto okrucieństwa takie piętnuje, przyczynia się do ich zupełnego uniemożliwienia. A zatem, dopóki cyrki nie przestaną być przybytkami dręczenia biednych istot, niechaj powszechnem hasłem będzie b o j k o t c y r k ó w!

Przystąpił do Tow.: WP. Paulina Tomaszewska we Lwowie i Wp. Stanisław Zarudzki w Kossowie.

Na ziarno dla ptaków złożyły na ręce skarbnika: Wp. Anna Gostyńska art. dram. 5 kor. Apolonia Frennd 2 kor. Eugenia Brückowa z Ropczyc 5 kor.

Wp. Adolf Mussil złożył z okazyi odznaczenia 50 kor. na cele Towarzystwa.

Nakładem Towarzystwa. — Z drukarni i litografii Pillera, Neumanna i Sp.